



Rozdział IX

Kiedy Pan wyszła na arenę, tłumy witały ją okrzykami i brawami. W kilka dni z wnuczki wielkiego Satana stała się dla tych ludzi bohaterką, zyskała własną sławę, choć cień wielkiego dziadka nadal padał na wszystko, czego dokonywała... i to nie tego dziadka, który rzeczywiście był niestrudzonym obrońcą Ziemi i największym wojownikiem w historii. Teraz, kiedy stała pośrodku areny, przyjmowana niemal jak nowy mistrz, kiedy konferansjer krótko streszczał jej turniejową karierę poczynawszy od debiutu w poprzednich zawodach, czuła słodycz i ciężar sławy. Ludzi na trybunach, co wydawało się jej niemożliwe, było jeszcze więcej niż ostatnio. Nad stadionem wznosiły się też dodatkowe sterowce, poza statkiem telewizji. Widziała długie podwieszane gondole, również pełne widzów.

Byli tutaj wszyscy.

Nawet nie próbowała zlokalizować swoich rodziców w tej gęstwinie twarzy. Nie potrzebowała już zresztą otuchy – coś się w niej zdecydowanie zmieniło, była zupełnie inną osobą niż zagubiona dziewczynka szukająca oparcia w spojrzeniu ojca, którą była podczas pierwszej walki.

Pan, rzecz jasna, myślała teraz o czymś zupełnie innym. Nie zajmowała się jałowymi dociekaniem na temat własnej natury. Zadowalała sobie to samo pytanie, które przeszło już przez głowę niejednego badanego obserwatora, podczas tej przedłużającej się wypowiedzi komentatora: gdzie jest jej przeciwnik?

Czas mijał, widzowie zaczęli szemrać, pojawiały się pierwsze obawy, że najważniejsza walka sezonu się nie odbędzie... spiker przerwał swoją przemowę, w pół zdania. Mówił akurat o poprzednim spotkaniu na arenie Pan z Zamaskowanym Wojownikiem.

- Proszę państwa, mam dla was... przykrą wiadomość... – mówił z przerwami, wysłuchując najpierw, płynącego wprost do jego ucha przez niewielki głośnik słuchawki, zaleceń. – Zamaskowany Wojownik... okazało się, że w czasie walk stosował niedozwolone środki i urządzenia, które dawały mu nieuzasadnioną przewagę... – kibice byli zdeorientowani, pomruki niezadowolenia zmieniły się w szmery spekulacji.

„Wiedziałem, że coś jest z nim nie tak.”

„To po to mu były te szerokie szaty.”

„Od początku nie powinni pozwolić mu występować!”

Pan, która wcześniej niemal przegrała z Zamaskowanym, wiedziała dobrze, że to musi być kłamstwo... tylko czemu jej rywal zniknął? I co teraz będzie?

- W związku z tym... – kontynuował komentator bez przekonania. – Organizatorzy zdecydowali, by pierwszym mistrzem Nowego Najwspanialszego Pod Słońcem Turnieju Sztuk

Walki...

Publiczność, która domyśliła się proponowanego rozwiązania, nie mogła się z tym pogodzić. Ludzie byli zawiedzeni. Dziennikarze relacjonujący przebieg turnieju dla telewizji z najdalszych zakątków świata nie szczędzili gorzkich słów krytyki dla Satana i jego mniszych wspólników. Heros ludzkości pocił się nerwowo, tak samo jak jego stary towarzysz, kierownik klasztoru.

- Musisz coś zrobić, Satan! Inaczej będziemy zrujnowani! Nikt nie przyjedzie tu za rok! – strofował go arcykapłan, który poświęcił wszystko dla marzenia o bogactwie.

Spiker dostał polecenie, by wstrzymać się z mówieniem. Stadionowe głośniki zamilkły. Podniósł się za to głos z trybun. To od nich miało przyjść rozwiązanie.

Mała Pan, znużona oczekiwaniem, złożyła nogi po turecku i usiadła... w powietrzu. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Nie po to brałem urlop... – ktoś narzekał.

- Niech Pan walczy z innym wojownikiem. – proponował ktoś inny.

- Niech walczy z Mistrzem Satanem! - pojawił się pomysł, pochwycony szybko przez innych.

- Satan! Satan! – skandowały w końcu tłumi, a spojrzenia wszystkich skierowały się ku łóżu organizatorów.

- No, Satan, Masz swoją szansę! – nakłaniał go stary mnich.

Najsilniejszy człowiek na świecie ciężko przełknął ślinę przez kurczowo zaciśnięte gardło.

Obudziła ich eksplozja. Na raz jakby cała planeta zadrżała i ściana skały i ognia wystrzeliła mu niebu. Wybuch był silniejszy niż jakikolwiek ziemski wulkan, zaś ilość siarki i pyłu, która dostała się do atmosfery, była tak wielka, że zasłoniła nameczańskie słońce. Chmury kłębiły się, kotłowały, pojawiły się pierwsze wyładowania atmosferyczne, powietrzne trąby, zaraz miał spaść deszcz. Na razie z nieba padał grad kamieni.

- Wreszcie. – błysk w oku zdradzał zadowolenie i ekscytację, jaka przepełniała wyrwanego z medytacji Piccolo. Uśmiechnął się złowieszczo i pomknął na wschód, do miejsca wybuchu. Zbudzeni erupcja chłopcy również zerwali się na równe nogi i natychmiast polecili w tamtym kierunku. Pozostali, którzy nie byli herosami, Dende, Bulma, Nameczanie, skryli się gdzie tylko mogli przed kamiennym deszczem. Skuci ze sobą Nowi Nameczanie nie mieli takiej szansy – skalisty grad miał w nich łatwy cel. Mogli tylko czekać, aż bogowie wojny rozstrzygną losy tego świata... o ile coś z niego pozostanie po tej walce.

Wkrótce potok ognia, gruzu i ludy dobiegł końca, a ziemia przestała drżeć. Nad cylindrycznym otworem sięgającym daleko w głąb skorupy zebrała się czwórka wojowników w oczekiwaniu na swojego przeciwnika.

- Znów się chowasz?! – wykrzyknął Piccolo, by sprowokować go do ujawnienia się. – Wychodź!

Błysnęło złote światło.

Z głębi tunelu wystrzeliła najprawdziwsza błyskawica, prosto w stronę Nameczanina z Ziemi. Jeden cios posłał to daleko w górę, ponad linię chmur. Cios pięści obleczonego w złotą aurę

Saichoro.

Nie wyglądał jednak tak, jak wcześniej. Prawdę mówiąc, niemal nie przypominał już swojej rasy. Tam, gdzie powinien mieć czułki, wyrastała ze skroni para krótkich, grubych rogów. Miejsca u jego krewniaków pokryte różową, segmentowaną tkanką, teraz osłaniał lśniący zielenią loty pancerz, przywodzący na myśl rasę Freezy... lub tutejszych demonów. Zielony zastąpił także wcześniejszą lita czerń jego oczu – za to niegdyś Zielona skóra zażółciła się, niczym włosy u saianina.

Tak właśnie wyglądał – jak nameczańska wersja super kosmicznego wojownika.

Nie było jednak czasu na podziwianie nowej, spektakularnej formy przeciwnika – wojownicy musieli od razu przystąpić do ataku. Wypoczęci Goten i Trunks postawili na sprawdzoną taktykę fuzji i rozpadów, stosując zaskakujące uniki i szafując zdradzieckimi atakami z dwóch kierunków na raz.

Zdałoby się to na nic – Saichoro wyraźnie dominował nad nimi w każdym w fizycznych atrybutów, nawet bez doświadczenia bojowego bez problemu odpierał ich uderzenia dzięki jedynie samemu refleksowi –gdyby nie Uub. W jego niewielkim ciele tkwiła siła trudna do wyobrażenia. Przy wsparciu ze strony duetu pół-saiyan był w stanie dokonać długiej wymiany ciosów z Saichoro, który jednak ani razu nie dał się trafić.

Kopnięcie zbyt szybkie, by Uub mógł zareagować, odrzuciło go w tył. Cios nie był groźny – miał za zadanie jedynie zwiększyć dystans między nimi, by Saichoro miał okazję zająć się pozostałymi dwoma. Złapał ich chwilę przed tym, gdy mieli połączyć się w jednego potężnego wojownika i z całych sił cisnął w kierunku gruntu, w dwie przeciwne strony. Choć nie używał technik ki, siła jego czysto fizycznych ataków była wprost oszałamiająca.

- Haa! – krzyknął i posłał w stronę przetransformowanego Nameczanina bladą różową falę energii.

Tym razem Saichoro był przygotowany. Gdy promień go dobiegł, odbił go z całą mocą, tak, że zmienił kierunek i zrównał z ziemią resztki odległych pokiereszowanych wzniesień.

Potem przeszedł do ofensywy.

Zaatakował Uuba tak szybko, że ten nawet nie miał co myśleć o unikach. Z wysiłkiem sparował uderzenie pięścią, zenująco proste i czytelne, jednak tak szybkie, że nic nie mógł na nie poradzić. Przeciwnik zasypywał go ciosami. Niewyrafinowanymi, amatorskimi, prosto w postawioną przez Uuba gardę. Z ciosu na cios ramiona chłopca bolały coraz bardziej.

Naraz nadleciały w jego kierunku dziwaczne, duchopodobne kształty. Pierwszy trafił go w plecy i eksplodował z hukiem. Czarnoskóry wojownik wykorzystał tę chwilę, by zwiększyć dystans i złapać oddech. Pomachał rękoma zamasyżuje, jakby chciał ugasić niewidzialny ogień. Kolejne bomby nadciągały, obrawszy Saichoro za cel. Jedna za drugą wybuchały przy zetknięciu z celem, a ten cofał się w powietrzu... jednak z czasem ostatni duszek spełnił swoją rolę, a Supernameczanin nie wydawał się nawet ranny. Co innego poirytowany.

- Wy innoplanetarne śmiecie! – zaklął, skupiwszy wzrok na dwóch przeciwnikach przed sobą: Kubie, który odzyskał już rezon, i Gotenksie, który się przy nim pojawił.

Saichoro był potężny. Nie był jednak wojownikiem. Całą swoją siłę zawdzięczał jedynie skoczył kulą. Nie myślał jak wojownik, zaś niesamowita moc, jaką zdobył w parę chwil powodowała, że gubił zdrowy rozsądek. I popełniał błędy. Nawet takie same jeden za drugim. Tak jak teraz, kiedy podwójny świdrujący promień pomknął ku niemu, a on nawet tego nie zauważył.

Makankosappo.

Energia pocisku zareagowała z niekontrolowana przez Supernameczanina przesycona ki złotą aurą i eksplozja światła oślepiła wszystkich.

- Amator. –dało się dosłyszeć komentarz Piccolo, który złapał drugi raz przeciwnika na tę samą sztuczkę.

Nim światło znikło, wojownicy usłyszeli coś jeszcze. Śmiech. Szaleńczy śmiech triumfu.

O jego powodzie mogli się niebawem przekonać.

Gdy ostatnie foto by umknęły sprzed ich oczu dojrżeli Saichoro. Przyjął atak bez jakiegokolwiek obrony. Prosto na swoje niegdyś słabe i delikatne ciało.

Unosił się w powietrzu przed nimi i śmiał do rozpuku, a wszystko wskazywało na to, że cios nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

Był nietknięty.

Gohan, choć ciałem znajdował się na trybunach stadionu, myślami był zupełnie gdzie indziej. W innym miejscu i czasie.

Podczas lat szkolnej nauki, a potem studiów – mimo, iż był przyrodnikiem –posiadał pewną wiedzę historyczną, w pamięci miał wiele ogólnych informacji na temat losów świata i człowieka, a nawet szczegółowo zgłębił poszczególne dziedziny. Wszędzie, gdzie nauka próbowała zawędrować dalej, niż 785 lat wstecz, trafiała na wielką pustkę. Najstarsze zachowane fragmenty tekstów, przedmiotów, dzieł starożytnej sztuki, na jakie natrafiła, pochodziły z drugiej dekady przed naszą erą, czyli jedynie około osiemset lat temu. Historycy i archeolodzy byli zgodni, iż w owym czasie musiał wydarzyć się jakiś globalny kataklizm, jednak z braku dostatecznych poszlak, operując jedynie szczątkami, byli skazani jedynie na poruszanie się po niepewnym gruncie jałowych dociekań i w żadnej rzeczy nie byli zgodni. Nawet, czy była to wojna, naturalna katastrofa, czy jeszcze coś innego – dlatego owy punkt, który stał się (w przybliżeniu) momentem od którego obecnie liczą czas, nosił miano Osobliwości.

Stąd bliski szoku stan młodego naukowca, w którego ręce wpadł doskonale zachowany dokument najprawdopodobniej – a nie wydawał się być falsyfikatem – pochodzący sprzed tego wydarzenia, lub spisany równoległe z nim. To był święty graal dla świata nauki i wpadł w jego ręce! Jednakże po zapoznaniu się z jego treścią nie był pewien, czy powinien to ujawniać... Bój intelektualny, który toczył wewnątrz, pochłaniał go bez reszty.

Aż zgromadzeni na trybunach zaczęli skandować raz po raz „Sa-tan! Sa-tan! Sa-tan!”.

Posiadacz tytułu najsilniejszego człowieka na świecie również błędził myślami, choć te były zdecydowanie zakotwiczone w tu i teraz. Próbował znaleźć wyjście z sytuacji, toczył walkę z samym sobą, wcale nie łatwiejszą, niż pojedynki Gohana z jego mrocznym alter-ego. Satan przykładął wielką wagę do tego, jak postrzegają to ludzie. To właśnie na tym, jaką wizję siebie im sprzedawał zbudował całą swoją życie i majątek. Nie było ważniejszej rzeczy w jego życiu niż uwielbienie tłumów.

...ale była jego wnuczka, mała Pan.

Pot wystąpił na jego czoło i dłonie, kiedy najstarszy z mnichów poklepał go po plecach.

- No zrób coś! Ludzie ciebie oczekują.

Zacisnął pięści, powstrzymał uczucie mdłości, nadał pierś. I zdecydował.

Wstał ze swojego miejsca i niepewnie podszedł do barierki. Tłum na szczęście nie zauważył tego jak pobladł i jak drży machając do nich, uśmiechając się sztucznie, robiąc dobrą minę do stanowczo najgorszej gry w życiu w jaką się do tej pory wpakował – jakkolwiek to rozegra, nie będzie w pełni zwycięzcą. Ale może chociaż spróbować nie przegrać...

Ludzie, gdy go zobaczyli, jakby zapomnieli o swoim rozgoryczeniu – zastąpiła je satysfakcja, że ich głos został wysłuchany. Jeżeli Satan był w czymś mistrzem, to było to postępowanie z widzami jak prawdziwy showman – potrafił ich wyczuć, a teraz wyczuwał że choć ten jeden element poszedł mu dobrze.

Najtrudniejsze było przed nim.

- Hahaha! – zawołał dodając sobie otuchy, co zostało odebrane jako akt pewności siebie.

Zaraz ktoś z obsługi technicznej wręczył mu mikrofon i najpierw ze wszystkich głośników na stadionie wydarł się jeden piskliwy trzask, a potem popłynął głos Satana. –Przez te wszystkie lata, kiedy nie raz dałem wam dowód swojej siły, kiedy stoczyłem niezliczoną ilość walk bez porażki – rozpoczął mowę, we której prawda zupełnie mu nie przeszkadzała –kiedy ratowałem Ziemię od zagłady... zdążyłem się zestarzeć... –zrobił pauza i rozejrzał się po zdezorientowanych twarzach: odniósł efekt – Ale zostało mi jeszcze sporo krzepy! – wykrzywił usta w wyćwiczonym uśmiechu, napiął mięśnie (nadal prezentował się przyzwoicie) i złapał w zgięciu prawej ręki. Tłum aż poderwał się z krzesełek i wiwatował. – Z radością stawie czoła swojej wnuczce! Mimo wielu jest naprawdę silna! – o wiele silniejsza niż ja, odpowiedział w myślach, obawiając się czy Pan pochwyci jego plan – To będzie znakomity pojedynek! I niech wygra najlepszy! – dokończył i wskoczył na arenę.

Upadł ciężko aż gruchnęło mu w kościach i przetoczył się po piaszczystej przestrzeni między ścianą trybun a polem walki, ale szybko wstał, nim ktokolwiek się zorientował co i jak. Otrzeptał starannie kurz ze swojego kimona (nigdy nie ubierał się w nic innego), poprawił mistrzowski pas i ponownie pomachał do fanów.

- Ha ha! – ponowił zawołanie przy aplauzie tłumu. Nikt już nie wspominał tajemniczego wojownika, który okazał się (przynajmniej w oficjalnej wersji) o wiele za późno wykrytym oszustem. W zamian za walkę człowieka, którego nawet imienia nie znali, mieli zobaczyć w

akcji żywą legendę, wspaniałego obrońcę ludzkości i to w dodatku rywalizującego z młodym pokoleniem, krwią ze swojej krwi.

Każdy wynik tego starcia będzie satysfakcjonujący.

Tylko Pan i paru prawdziwych wojowników, jej rodzina i przyjaciele, którzy znali prawdę o jej ekscentrycznym i niezbyt prawdopodobnym dziadku, zastanawiali się, czy on przypadkiem nie postradał zmysłów.

Starcie, które mogło zniszczyć Nową Namek, trudno było nazwać wyrównaną walką. Czterech doświadczonych wojowników, jednych z absolutnie najpotężniejszych w tym wszechświecie istot, potrafiących ze sobą współpracować i wykorzystujących wachlarz morderczych technik walki wręcz i z dystansu stanęło naprzeciw kompletnego amatora, który fuksem załapał się do ich ligi. Walka była jednostronna.

Przybysze z Ziemi nie potrafili uczynić Super Nameczaninowi żadnej krzywdy.

- Ciężko... – wysapał Piccolo. – Musimy znaleźć na niego jakiś sposób...

- Ataki z dystansu nie działają... Walka wręcz też odpada, jest chyba niezniszczalny!

- Dobrze, że nie bije aż tak mocno. – dodał Trunks. – On nic nie umie.

- Szybko, zróbmy coś, Uub już nie daje rady się bronić! – garda młodego wojownika opadła z bólu i zmęczenia i Saichoro zaczął brutalnie okładać go po głowie i brzuchu. Nie wyglądało to dobrze.

Goten zamyślił się przez chwilę. W jednej sekundzie jakby ożyły wspomnienia dzieciństwa, samotnego, bez ojca. Przypomniały mu się przekazywane przez brata i matkę, a najbardziej przez Krilana i Genialnego Żółwia opowieści... Wymyślił coś.

- Nie ma mowy! – zagrzmiały zgodnie głosy pozostałej dwójki.

- Inaczej zaraz zabije Uuba! – ponaglał towarzyszy.

- W takim razie zrobimy to razem!

- Nie... – chciał zaprotestować, ale chyba reszta potraktowała temat jako zamknięty, bo rzucili się na pomoc katowanemu przyjacielowi. W samą porę. Jeszcze kilka razy, a straciłby nie tylko przytomność. Opadł na ziemię, bez siły, gdy tylko przeciwnik przestał go bić.

Potrzebował chwili, by dojść do siebie. By on obrazu świata zniknęła ziarnista czerń i przestał wirować jak opętany.

Gdy odzyskał zdolność widzenia(trwało to kilka chwil), zobaczył dwóch wojowników próbujących ataki z różnych stron. Piccolo i Gotenks usiłowali znaleźć chyba słaby punkt w obronie Saichoro, ale on nawet nie próbował się bronić! Ciosy dosięgały jego ciała, tylko że on nic sobie z tego nie robił! Był niczym otoczony szczelna zbroja, pokrywająca całe ciało, bez słabych punktów.

Saichoro był tak pewny siebie, że odwrócił się plecami do Gotenksa, kompletnie go ignorując. Ten... nie zaatakował. Chwycił go w tułowi, ścisnął z całych sił i wystrzelił z nim wysoko w powietrze, ponad chmury.

Uub, który nie słyszał jeszcze o autodestrukcji, nie wiedział co się ma zaraz stać, jednak czuł, jak ki Gotenksa rośnie gwałtownie, coraz szybciej i szybciej... aż do eksplozji, która przyćmiła swą siłą nawet niedawna manifestację mocy Saichoro. Chmury w jednej chwili zniknęły za horyzontem, wody oceanu cofnęły się daleko, mając zaraz powrócić jako ogromne tsunami. Planeta kolejny raz ledwo przetrwała.

W blasku wybuchu – doszło do niego na tyle wysoko, że był bezpieczny – zobaczył jeszcze dwie spadające gwiazdy, mknące w zupełnie przeciwnych kierunkach... i uzmysłowił sobie, że nie czuje już ki chłopaków.

Piccolo wylądował obok niego, coś mówił, chyba starał się wytłumaczyć to, co zaszło. Było jednak za późno. Uub nie rozumiał już słów, jakby jego ludzką cząstka znalazła się gdzieś daleko, za barierą. Jakby zatonała w czymś groźnym i większym o wiele niż on sam. Coś złowieszczonego, pierwotnego, zbyt starego, by mogło być duszą małego chłopca się przebudziło.

Uub wpadł w gniew.

Chęć Satana do wzięcia udziału w walce zaskoczyła Gohana i Videl.

Musiał zdawać sobie sprawę, jaka przepaść dzieli jego poziom od mocy, którą posiada Pan. Choć pozostawał sprawny i był bardzo silny jak na przeciętnego zjadacza chleba, nawet jedno nieuważne machnięcie ręką wnuczki w ferworze walki mogło pozbawić go życia.

- Oszalał. – zmartwił się Gohan.

- On coś kombinuje. Znam swojego ojca. Może nie jest najbystrzejszy, ale musi mieć jakiś plan.

Komentator naprędce zapowiedział walkę, uczestnicy zbliżyli się do siebie, uścisnęli sobie dłonie i wymienili parę słów. Satan nachylił się do ucha wnuczki, jakby chciał mieć pewność, że nikt to nie usłyszy, po czym poklepał ją po plecach. Odeszli każde w swój róg areny i gong oznajmił początek starcia.

Pan zaatakowała – wolno. O wiele wolniej niż była w stanie. Satan przybrał karykaturalną pozę rodem z filmów karate klasy B i, choć wydawało się to nieprawdopodobne, skutecznie odparł cios wnuczki, której kopnięcie znalazło się dokładnie w jednym i jedynym punkcie, gdzie wymyślna garda dziadka mogła go je zatrzymać. Wszystko było bardzo widowiskowe, niczym w balecie.

Sekwencja powtórzyła się kilkukrotnie. Pan atakowała na różne sposoby –kopnięcie z góry, sierpowy, prosty, hak, cios w plecy, uderzenie łokciem i splecionymi rękoma. Za każdym razem Satan, przybierając jedną z wielu dziwacznych póz jakie posiadał w repertuarze, wykonując całkowicie bezsensowne i zbędne ruchy, odstawiając się przy tym jak zupełny amator, tak, że w prawdziwej walce zdążyłby już zginąć kilkanaście razy, jakimś cudem unikał ciosu albo odpierał atak. Podstarzały showman i kilkulatki dosłownie tańczyli, a Gohan nie mógł wyjść z podziwu, jak wielką kontrolę nad własną siłą ma jego córka, kiedy przyszło jej do

zabawy z dziadkiem. Musieli już to kiedyś przerabiać, to wręcz niemożliwe, by było tak zsynchronizowani.

Może Pan nie Ignęła do Satana tak bardzo, jak do Goku, jednak przez ostatnie miesiące był jedynym dziadkiem „pod ręką” i na pewno się do siebie zbliżyli. Publiczność chyba tego nie zauważała. Nic dziwnego, skoro pełna była mieszczuchów, piwożłopów i maniaków kina akcji, którzy sztuki walki znali właśnie z filmów, a to, co teraz działo się na arenie przypominało bardziej kaskaderskie choreografie niż wszystkie inne walki na tym turnieju. Z pewnością świetnie się bawili oglądając to starcie, tym bardziej, że ruchy Satana (co za tym idzie również dostosowującej się do niego Pan) były do dostrzeżenia dla każdego widza.

Teraz Satan przeszedł do ofensywy. Raz po raz zadawał Pan celny cios, a ona jakby zaczęła się cofać. To było komiczne! Pięść Satana pełzła niemalże (w porównaniu do możliwości Pan) w jej stronę i to nieraz prosto w środek jej obrony, tak, że musiała wykonywać jakiś idiotyczny ruch imitujący próbę ataku, by ustawić się tak, aby cios dobiegł celu. Satan nie poprzestawał na zwykłych atakach. Jego pozy stawały się coraz bardziej karkołomne, Gohan odniósł wrażenie, że przerobił już całą encyklopedię zwierząt w wersji pantomimicznej.

A ludzie to kupowali! Tłumy bawiły się jak nigdy! Słyszał wokół siebie rozemocjonowane głosy zachwalające mistrzostwo i styl walki Satana, który w rzeczywistości przyniósłby mu tylko śmierć lub kalectwo, pod warunkiem, że przeciwnik nie padłby wcześniej ze śmiechu.

Tymczasem Pan była coraz bliżej linii pola.

- To okropne. – odezwała się Videl. –Ojciec musiał ją przekabacić. Mógłby raz sobie odpuścić. Tak bardzo chciała wygrać ten turniej...

Gdy na niebie rozbłysła gwiazda, silna niczym nameczańskie słońce, i zgasła raptownie, Dende wiedział doskonale, co się wydarzyło i do oczu napłynęły mu łzy.

Walka przyniosła pierwsze ofiary. Goten i Trunks poświęcili się dobrowolnie, by pokonać Saichoro dysponującego siłą, jakiej oni nie posiadali. Zdawał sobie sprawę, że mogą zostać wskrzeszeni w każdej chwili po powrocie na Ziemię, gdzie były smocze kule (dla ich ojców pobyt w zaświatach nie był niczym niezwykłym) i pewne potraktują to raczej jako wycieczkę niż męczeństwo, jednak... mimo wszystko...

Taki plan to było wielkie ryzyko, ponieważ jeżeli Saichoro przeżył, Piccolo i Uub sami będą musieli go pokonać. Jego ki trochę spadła jednak nie zniknęła. Zachował życie. To był kolejny powód, przez który Dende płakał. Poświęcenie okazało się daremne. Niestety...

Wtem coś jakby rozpędzony meteoryt uderzyło w powierzchnię gruntu tuż przez budynkiem, w którym razem z Bulma mieli swoje schronienie. Dende mógł spokojnie wyjść i przyjrzeć się obiektowi – chmury pyłu i grad skał zostały rozpędzone przez eksplozję w najdalsze rubieże kontynentu. Dzięki temu los Nowych Nameczan również się polepszył (bogowie wojny potrafili przynieść też błogosławieństwo), choć marna to była pociecha w perspektywie wysłania na tamten świat dwóch nastolatków, tym bardziej, że mogli tu się jeszcze przydać.

Gdy tylko zbliżył się do krateru, zauważył, że leży tam Goten i ledwo łapie powietrze... ale oddycha! Jakimś cudem autodestrukcja nie pozbawiła go życia! Podbiegł do niego szybko i rozpoczął leczenie.

Kierowana ciekawością Bulma postanowiła do niego dołączyć i ujrawszy Gotena, który wyglądał jakby był już jedną nogą w grobie, pobladła.

- Co się stało?!

- Szybko, niech Nameczanie polecą tam, gdzie spadł Trunks! On był drugim meteorytem! – rozkazał jej, nie tracąc czasu na dyskusje i skupiwszy się na tym tak mocno jak tylko potrafił, zabrał się do leczenia.

Uub wpadł w gniew.

Piccolo nigdy nie widział chłopca w takim stanie. Nie znali to od tej strony także Goten i Trunks. Nawet nikt w jego wiosce nie widział go takiego, choć niektórym mogłoby się wydawać inaczej.

Tylko Goku znał tę część osobowości młodego wojownika. Kazał mu obiecać, że nigdy, przenigdy nie użyje tej mocy, póki nie dorośnie, albo nie będzie musiał bronić swojego życia. I Uub usłuchał go, choć po tym, jak ujawniła się po raz pierwszy podczas jednej z ich wspólnych walk w drodze na Yardat, w trakcie sparingu na jednej z wielu nienazwanych planet, wiedział, gdzie drzemie i jak ją obudzić. Teraz jednak nie zrobił tego świadomie – wcielenie destrukcji, które czało się w mrokach jego młodej niewinnej duszyczki, wypełzło na wierzch samo, kiedy zrozumiał, że jego przyjaciele oddali życie... a Saichoro przeżył! Cały gniew (na szczęście dla wszystkich innych) Uuba ukierunkował się właśnie na niego.

Zabić, rozszarpać, zniszczyć!

Ten płomień mógł zgasnąć tylko wówczas, kiedy strawi swoją ofiarę.

Gdy tylko Saichoro opuścił się z niebios, po raz pierwszy sprawiając wrażenie, jakby stracił pewność siebie a wraz z nią część swą energii i kondycji, Uub dokonał uwolnienia.

- Odebrałem odczyt. - oznajmił jeden Wędrowców zawieszonych w próżni, przeglądających się gryzoń tego, co wcześniej było pięknym, tętniącym życiem światem.

- Kolejna planeta, która została zniszczona... – powiedział jakby do siebie drugi, wyższy. – Nie udało się uratować tylu istnień, Koko.

- Na każdej wojnie giną cywile, Rero. – odpowiedział tamten chłodno. – Poza tym, nawet gdybyśmy mieli zniszczyć dziesięć takich planet, uratowalibyśmy pozostałe siedem milionów zamieszanych światów w tym wszechświecie.

- Nie ma ich tu aż tyle.

- To tylko przykład.

- Mówiłeś coś o odczytach?

- Nie poczułeś już tego sam? – zdziwił się Koko. – Mikrofotony w paśmie widma ki, fluktuacja...

- Mów normalnie. – przerwał mu Rero. – We wszechświecie 31415926535... tam, gdzie zamieszkał mistrz, pojawiła się kolejna ogromna ki, silnie emitująca promieniowanie.
- Już kiedyś odebraliśmy jej ślad, ale wtedy była zakłócana przez inne...
- Ciężko mi stwierdzić, czy to czyste zło czy niewinna dusza... Złamali umowę? Czy to regulacje wszechświata zawiodły?
- I tak trzeba ją zniszczyć. –Koko nie zajmował się błahostkami. – Co najwyżej zainterweniujemy dopiero wówczas, kiedy zginie paru tamtejszych herosów.
- Obiecaliśmy mistrzowi...
- Wiem, co obiecaliśmy. – uciął temat Koko. – Ale dobrze wiesz, jak nie my to przylecą inni. Może nawet sam... – Nie dokończył. Obydwaj dobrze wiedzieli, kogo mógł mieć na myśli. Rero jeszcze raz pełnym żalu spojrzeniem omiótł kłębowisko kosmicznego gruzu, które kiedyś było światem zwanym Valhalla.
- Ruszajmy więc – powiedział w końcu – Długa droga przed nami.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Niezliczone ilości razy, kiedy Pan uprosiła go, by chociaż poudawał z nią walkę (kiedy Buu spał albo jadł i nie można było mu przeszkadzać) w końcu jakoś zaprocentowały. Tańczyli swój osobisty układ, a publiczność -z tego co słyszał - była zadowolona. W końcu od dawna nie widzieli, by walczył z kimkolwiek poza Buu. Ten z pozoru nieprzyjemny zbieg okoliczności, całe to zniknięcie Zamaskowanego Wojownika (na następnych zawodach maski będą zabronione, już postanowił), zaczął wychodzić mu na dobre. Satan podjął już jednak decyzję, w jaki sposób to zakończy. On był uosobieniem bohatera, Pan miała być kolejną generacją... Teraz nadeszła kolej, by to on zaczął się cofać. Teraz bronił się (czy raczej przyjmował pozy, wedle których Pan miała prowadzić atak) i cofał. To był niebezpieczny moment. Niektóre z ciosów wnuczki musiały to osiągnąć, a nawet te, które blokował, potrafiły niekiedy zabość, jeżeli uderzyła trochę zbyt mocno.

Cofał się krok za krokiem i słyszał, niemalże czuł, jak publiczność wstrzymała oddech.

Pan uderzyła zbyt mocno!

Nie był to nawet ułamek jej siły, ale jej kontrola uleciała ma chwilę, nawet zerknęła w niebo, na zachód i nie przyglądając zbyt wiele do uderzenia, zadała cios. Satan stracił równowagę, przetoczył się, zagryzł wargę by nie jęknąć z bólu i wstał jakoś na nogi. Od razu wybił się w powietrze i przeleciał dzielący ich dystans z wymierzonym w Pan kopniakiem. Nie był pewien co ona robi, jednak dobrze odebrała improwizację, przyjęła cios i też upadła. Wstała równie szybko i nim znów zaczęli swój taniec, usłyszał ciche „Ups, przepraszam dziadku”.

Ich zmagania trwały jeszcze chwilę, jednak nie mogły ciągnąć się w nieskończoność. Mimo to, Satana zaczęły nagrodzić wątpliwości, jak właściwie postąpić. Musiał dokonać wyboru. Wiele razy zastanawiał się nad przyszłością...

Teraz była kolej Pan na atak.

Wyskoczyła w powietrze, by udać zamaszyste kopnięcie, które dobrze wiedział gdzie pokieruje. Już przyjął jedną ze swoich karykaturalnych póz karate, które spowoduje, że stopa wnuczki ominie jego ciało... po czym obrócił tułów.

Cios spadł na niego z całą (choć powstrzymywana jak się tylko dało) siłą, a kolana ugięły się pod nim, jakby zamiast nóg miał dwa ciepłe bloczki plasteliny. Przeturlał się przez piach i gdy siła uderzenia już nie pchała go do przodu, wstał niepewnie.

Już poza areną.

Tłum na trybunach nie wiedział co się dzieje. Nawet komentator milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Nawet Pan stała jak wryta, najwyraźniej nie spodziewając się takiego scenariusza.

W końcu głośniki przemówiły cicho „pokonany” po czym głośniejszym głosem „Satan został pokonany... Zwyciężyła Pan!”. Tłum w końcu poderwał się z krzesełek w jednym wielkim okrzyku.

Satan był bohaterem ludzkości. Był symbolem. Był tym, czego ludzie potrzebowali w niepewnym świecie. Kochał swoją sławę i szacunek, który posiadał.

Był też dziadkiem i kochał też swoją wnuczkę.

Uśmiechnął się do siebie.

Podjął dobrą decyzję.

Wszyscy, którzy mnie byli ślepi na ki, musieli to wyczuć.

Vegeta powracał. Jego statek był już blisko Ziemi. Z pewnością nie wyzwalał teraz całej swojej ki, pewnie nie pokazywał nawet ułamka, by nie zdradzić swojej pełnej mocy i przypadkiem nie ściągnąć tu do z powrotem uczniów Popo. Jednak jego ki była inna. Choć jej poziom nie wykraczał poza granice, jakie saiyański książę mógł osiągnąć bez transformacji, jej obecność manifestowała się w wielką uporczywością. Nie dało się jej nie wykryć. Do tego była jakby... dzika.

- Vegeta wrócił, co? – obok Gohana wyrósł Krilan. –Dzienne, ale kiedy tak leci w naszym kierunku zupełnie nie czuję otuchy, że tu będzie gdyby... no wiesz... coś się stało. Nawet ta jego ki... bardziej pasuje mi do jego pierwszej wizyty na Ziemi. Uczucie, jakby chciał nas tu wszystkich pozabijać...

- Coś w tym jest. – odpowiedział bez przekonania Gohan.

Jego córka właśnie pokonała Najsilniejszego Człowieka na Świecie, tym samym przejęła ten tytuł. Video była zadowolona, że marzenie Pan o zwycięstwie się urzeczywistniło i że jej ojciec był w stanie to zrobić dla niej. Gohan się nie cieszył – ta chwila na zawsze zmieni życie kilkulatki, już zawsze będą ją śledzić kamery a fani osaczać na ulicy. Na razie obsługa wniosła podium, by stanęli na nim Pan, Tien i C18 (Satan nie liczył się w rankingu). Zaraz będą im gratulować.

- Chyba Vegeta nie mógł się stać znowu zły, co? – dopytywał Krilan, w którym zrodziły się pewne obawy co do osoby, której nigdy do końca na zaufał.

Gohan myślał jednak o czymś innym. Turniej się zakończył, niedługo miał wrócić do swojej przerwanie pracy naukowej... tylko czy powinien? Tajemniczy zwój, który zostawiła mu Gula, miał to na coś nakierować, bez wątpienia.

Pismo, którym dokument został spisany, różniło się nieco od współczesnego, jednak udało mu się wyłowić sens zapisanych słów – przynajmniej tego fragmentu, który udało się mu odczytać. To była relacja z ludobójstwa.

Dzień trzydziesty szósty eksperymentu

Próby transmutacji dokonuje Główny Mag Cesarza Hian

Próba: dwunastu mężczyzn i dwanaście kobiet rasy czarnej, pochodzenia – wyspy Archipelagu

Cel eksperymentu: dokonanie zmian w fizjologii i fizjonomii poddawanych wpływom magicznym, poprzez manipulację naturą chi; stworzenie nowego gatunku zdolnego do wydawania płodnego potomstwa

Planowany przebieg: Na etapie pierwszym próba zostanie poddana działaniu [tekst zniszczony, wygląda na działanie celowe]

Etap pierwszy: trzy pary straciły życie

Etap drugi: dwóch mężczyzn – połowiczna transformacja w wilka; kobiety zmarły

Etap trzeci: ostatnia para przetrwała, efekty magicznego oddziaływania niejednoznaczne, parze udało się uciec

Komentarz:

Jest trzeci rok wojny między Najświętszym Cesarzem Hian a Samlem z Pustyni. Magowie Samla dokonali skutecznego ożywienia pradawnych jaszczurów! Nie wykluczamy, że otrzymali pomoc od piastunów Kryształu Wiedzy. Zgodnie z rozkazem cesarza trwają badania nad uzyskaniem nowego rodzaju broni. Tutaj, w bazie w Górach Mglistych, trwają prace nad stworzeniem rasy super-żołnierzy. Na chwilę obecną i żadnej z par, które przeżyły nie stwierdzono ponadprzeciętnych umiejętności kontroli chi, ani ponadprzeciętnej wysokości odczytów chi. Jedna para zbiegła. Pary, które przeżyły: 8. Liczba ofiar: 632.

W dalszej części [tekst nierozszyfrowany]

Tyle udało się Gohanowi przełożyć na używaną przez niego, współczesną formę języka, nim zdecydował się przerwać pracę nad treścią zwoju. Tyle zresztą mu wystarczyło – i tak nie był w stanie zmrużyć oka przez całą noc.

To było coś przedwiecznego.

Prastare, czyste zło. Żądza mordy od której gęstniało powietrze, a każdy oddech był wysiłkiem, przesycony pierwotnym lękiem.

To nie mogła być aura, którą miałyby taki smarkacz.

Saichoro, któremu udało się przetrwać samobójczy atak scalających się natrętów chyba bez szwanku (może stracił nieco swojego wigoru, ale to pewnie z oszołomienia), teraz zaczął

autentycznie się obawiać.

Mimo, że jego przeciwnicy oceniali to inaczej, nigdy nie miał siebie za złoczyńcę i nie dążył do ślepej destrukcji.

Tymczasem ten czarny dzieciak...

- Haaaaaaa! – wrzasnął Uub, a potem wręcz zawarczał. Jego aura rozrosła się jak wściekła, ostrymi szpikulcami wzbijała się w niebo. Wiatr wokół niego wirował jak szalony, wyrывая nawet skały z gleby. Nagle aura jeszcze mocniej wystrzeliła mu górze i przybrała neonowrózowa barwę.

To nie wszystko.

Masa mięśniowa chłopca trochę wzrosła, ale to nie była najcharakterystyczniejsza zmiana w jego fizjonomii. Zmieniły się włosy. Uniosły i falowały niczym płomień. Różowy płomień, bo taki przybrały kolor. Tak samo przybarwiły się tęczówki jego oczu, kontaktując z głęboką czernią źrenic.

Wyglądał niczym groteskowy różowo-czarny demon.

Piccolo wiedział, kogo ten przypomina.

- Goku, ty lisie! – powiedział do siebie. – Od początku wiedziałeś, co?! Zawsze taki byłeś. Sprawiasz wrażenie tępaka, a gdyż przychodzi co do czego... zostawisz wszystkich daleko w tyle.

Niemczański wojownik z Ziemi postanowił nie interweniować. Póki uwaga Uuba skupia się na Saichoro, sytuacja jest pod kontrolą – jeżeli nadal będzie potrzebny, będą walczyć z tym Super-Nameczaninem z przypadku razem. Później... zobaczy, co z tego wszystkiego wyniknie.

- Zabiję cię... – wyszeptał Uub. – Zabije! – i pomknął w stronę Saichoro, w którego oczach zagościł instynktowny strach.

Wtedy Piccolo zorientował się, że Trunks i Goten jakimś cudem przeżyli. Ki Gotena powoli wzrastała, chyba Dende go leczy... za to Trunks, jemu ktoś musiał pomóc!

Odleciał w jego kierunku, akurat w momencie, gdy Uub dopadł do Saichoro. Ten w ostatniej chwili odzyskał trzeźwość myślenia i spróbował się zasłonić. Wysoką garda mógł sparować cios z głowę, akurat zdążył się przygotować, ponieważ nadal był szybszy od Uuba, choć różnica była już nieznaczna.

Za to Uub potrafił walczyć. Tuż przed zadaniem ciosu przełożył środek ciężkości, pięść przecięła powietrze tuż przy uwięzionych przedramionach Saichoro, zaś Ziemianin wykonał szybki obrót korzystając z siły odśrodkowej zaskoczył przeciwnika kopnięciem z pięty prosto w biodro.

Saichoro wygiął się pod siłą uderzenia, a jego garda opadła na moment. Wtedy Uub wystrzelił szybkim prostym, dokładnie w jego nos. Cios trafił bez pudła aż głowa Nameczanina odskoczyła w tył.

Uub już szykował się do wysokiego kopnięcia, zrobił wymach nogą, jednak Tym razem Saichoro zareagował odpowiednio i chwycił kostkę przeciwnika na wysokości swojego gorsi,

po czym ścisnął ją ze wszystkich sił i przekręcił. Nie udało mi się jej ani złamać, ani wykręcić – czarnoskóry wojownik poddał się jego ruchom i wykorzystał je przeciw niemu. Gdy tylko znalazł się w pozycji, która to umożliwia, wskoczył na ramiona Saichoro i zaczął to dusić nogami. No, przynajmniej próbował. Ciało Nameczanina było niczym gruby pancerz, nie poddawało się sile nacisku.

- Tylko na tyle cię stać? – zadrwił Saichoro zdawszy sobie sprawę, że, prócz bólu, który potrafiły mu zadać ciosy różowego demona, nic poważnego mu nie grozi. Jego złote ciało zdawało się być nie do zniszczenia.

Uuba to jedynie rozjuszyło. Zaczął okładać wroga po głowie niczym goryl bijący o ziemię lub bębniarz wybijający coraz szybszy rytm. W każdy cios wkładał całą wściekłość, a ta miast maleć, rosła, gdy po kolejnych uderzeniach nie widział mi jednego zadrapania.

Z Saichoro nie było jednak tak dobrze, jak możnaby sądzić. Choć z zewnątrz nie wyglądało na to, by doznał jakiegoś uszczerbku, głowa pulsowała bólem w rytm padających nią razów. Czuł, że jest coraz bardziej obolała, aż z trudem zachowywał spójność widzenia i trzeźwość myśli... jeszcze kilka takich ciosów, a mógł stracić przytomność. Musiał jakoś się wyrwać.

- Aaaaau! – krzyknął Uub, kiedy szczęki Nameczanina wgryzły się w mięsień jednego z jego ud. Ból natychmiast zmusił go do przerwania ataku i w jednej sekundzie puścił swą zdobycz i odskoczył.

- Kaaaaame-haaaame-ha! – krzyknął jeszcze w locie i posłał ku swojemu znienawidzonemu celowi falę niszczycielskiej energii. Saichoro, znów pełen wiary w swoją złotą obronę, skrzyżował przedramienia, podkurczył nogi i przyjął na siebie moc ataku.

Nie mylił się. Energia odbiła się od niego niczym woda od skały, część opłynęła go, jednak nie doznał krzywdy. Jedynie plecy, między łopatkami, zapiekły go nieprzyjemnie. Gdy fala zniknęła, rozpostarł kończyny, by dojrzeć swojego przeciwnika.

Ale ten był już za nim.

Gdy Uub zszedł go od tyłu, zobaczył coś, czego się nie spodziewał. Nieprzerwana, nieskazitelna, nienaruszona żółta skóra Saichoro tutaj była popękana. Pęknięcie rozchodziło się niczym pajęczyna po całych plecach Nameczanina, swoje centrum mając między łopatkami. Tam też, w samym środku pajęczyny pęknięć, była niewielka wyrwa, mniejsza od dłoni – miejsce, z którego odpadł fragment złotej powłoki, zagłębienie, z którego wyzierała nameczańska zieleń skóry.

Uub miał tylko chwilę, by uspokoić burzę gniewu w swoim umyśle i zrozumieć to, co się stało. Samobójczy atak Gotenksa nie poszedł na marne. Wręcz przeciwnie! Udało się im zadziałać więcej, niż jemu do tej pory. Okazało się, że nowy, złoty kolor Saichoro to tylko skorupa – i oni zrobili w niej wyrwę. To był jego słaby punkt...

Saochiro zaczął się odwracać.

Uub, by wykorzystać ostatnią chwilę na atak, uderzył szybko, zwykłym skarbowym bez szczególnego zamachu. Cios zupełnie niegodny uwagi... ale poskutkowało!

Saichoro krzyknął z bólu i aż to odrzuciło.

- Co do choler... – zakłął postawił garde, ponieważ przeciwnik nadciągał z ciosem. To był tylko blef. Uub minął to, po czym uderzył go łokciem prosto między łopatki.

Saichoro krzyknął jeszcze przeraźliwiej i znów siła uderzenia pozbawiła go na chwilę kontroli nad ciałem.

To było więcej niż wystarczająco dla Uuba.

Zaatakował serią kopnięć prosto w newralgiczny punkt przeciwnika, który nie był w stanie już nic zrobić. Ból go sparaliżował, luka w złotej obronie odsłoniła jego słabe, niezwykle do walki ciało, a układ nerwowy krzyczał każdą komórką, która dotychczas nie poznała takiego cierpienia, aż niemal płynęły ich synapsy.

A Uub kopał, kopał, kopał...Fragmenty żółtej skorupy spadały niczym płatki z drzewa wiśni, tańcząc i wirując w powietrzu, każdy oznaczał koniec Saichoro.

W końcu sięgnęli gruntu, a czarnoskóry wojownik nadal nie poprzestawał w atakach.

- Przestań! – wyjęczał Nameczanin. -Nie zabijaj mnie! Nie... – błagał między ciosami, zwijając się z bólu, zapominając o całej swojej dumie.

Potwór z wnętrza Uuba, który wypełził na powierzchnię, nie słuchał... ale był też młody chłopiec z małej i biednej wioski. Chłopiec o wielkim sercu, posiadający jeszcze naiwność dziecka.

Przestań! Krzyknął wewnątrz swojej głowy. Ciało jednak nie chciało to słuchać. Przestań!

Przestań! Przestań! Oderwał się z wysiłkiem od niemal konającego Saichoro.

Złapał się rękoma za głowę i wrzasnął przeraźliwie, a potem zaczął rwać włosy z głowy... aż różowy płomień zgasł, a on zemdłał, nie dokończywszy aktu zemsty.

Saichoro leżał jeszcze przez chwilę, zbierał siły. W końcu wstał z trudem, rozciągnął kończyny, z których każda promieniowała bólem, zazgrzytało mu w kręgosłupie, gdy się rozprostował... ale żył. Był zmęczony i obolały, złota zbroja, którą był okryty, popękała już na całej powierzchni ciała i poodpadała w wielu miejscach odsłaniając słabe zielone ciało, tak, że wyglądał jak groteskowo liniejący gad, ale żył. Został pokonany, upokorzony, poniżony, ale żył.

Ruszył w stronę nieprzytomnego Uuba.

- Pieprzony szczeniak.– warknął pod nosem.

Wtedy podwójny, wirujący promień przeszył jego ciało.

Makankosappo.

Odwrócił się do źródła wystrzału i ujrzał tam dobrze już znaną postać.

- Ty... odleciałeś. – wycharczał, gdy krew wypływała mu już przez usta.Nie miał nawet sił, by wyrazić swoją irytację. Miał być królem, zbawca swego ludu, przewodnikiem nowego pokolenia, a ostateczny cios zadał mu stary Nameczanin, w dodatku obcy, z innej planety.

- Jednak wróciłem. –odparł Piccolo spojrzawszy w kierunku Uuba.

Saichoro spojrzał na swój tułów i próbował zakryć rękoma śmiertelną ranę.

- Ty... zabiłeś mnie... – łzy napłynęły mu do oczu. Przez te wszystkie lata odosobnienia, lata w ukryciu, cały ten czas, kiedy przygotowywał swój plan, ani razu nie pomyślał, że tak będzie wyglądał jego koniec.

- Nie licz na rozterki moralne z mojej strony. – odparł chłodno Nameczanin z Ziemi, zbliżając się wolnym krokiem do konającego.
- Potworze... – wyrzeźbił jeszcze Saichoro i padł bez życia, prosto pod nogi swojego pogromcy.

Rozdział X

Kurz w końcu opadł nad miejscem batalii, która rozegrała się przed kilkoma dniami, na zawsze zmieniając Nową Namek.

Niebo nadal pełne było wulkanicznych wyziewów, które szczelnym płaszczem zasłoniły planetę przed światłem i ciepłem tutejszego słońca. Nastąpiła zima.

Potężne fale nadal niespokojnych oceanów wdzierały się głęboko do wnętrza kontynentów, niosąc zagładę naziemnym stworzeniom.

Raz zbudzone wnętrza planety wciąż było niespokojne, co i rusz odbywało się wstrząsami, a lawa niczym wrzącą ciecz w zbyt małym kotle szukała ujścia na zewnątrz, prowadząc do wybuchów nowopowstałych wulkanów.

Trup Saichoro już ostygł, przykrył go popiół czyniąc z niego naturalną mumie. Za tysiąc lat może będzie mesjaszem, który zginął jak męczennik dla swego ludu – teraz jest jedynie zimnym kawałkiem opuszczonego przez duszę ciała.

Nadszedł czas, by podjąć decyzje.

Miejsce, gdzie zgrupowano Nowych Nameczan zdążyło zmienić się w miasteczko baraków. W prowizorycznie rozłożonych namiotach i naprędce skleconych chatkach, które chroniły ich w marnym stopniu przed drastycznymi zmianami klimatu, oczekiwali na wyrok. Saichoro, opętany mania wielkości przywódca i inicjator ich rebelii, leżał martwy kilometry od nich, a wraz z nim zginęło przeświadczenie o ich powołaniu do władania i budowania nowego świata – pustkę po tych marzeniach i ideałach szybko zapełniło poczucie krzywdy i pragnienie zemsty. Zmarły nagle Saichoro nikomu jednak nie pozostawił swego daru i pozycji, nikogo nie namaścił na ich „Najstarszego”, więc niezdolni do buntu trwali w przeświadczeniu o swojej bezsilności.

W głębi kontynentu, w domu Najstarszego Nameczanina, który teraz należał do Piccolo, skończyła się właśnie narada. Zaraz wyjść (czy wylecieć) mieli z jego wnętrza wszyscy, w których rękach leżały losy tego świata. Trunks, Goten i Uub, szybko wyleczeni po walce z Super Nameczaninem (nadal nikt nie wiedział, czemu pierwsza dwójka przeżyła, jednak szybko wrócili do zdrowia, a trzeci był jedynie wyczerpany i potrzebował trochę snu), Dende i Bulma, cenieni za ich pomoc i mądrość, najstarsi z Nameczan, Prippe, który nie posiadał

znaczenia, ale miał reprezentować swoje pokolenie. I Piccolo. Najstarszy Nameczanin, pogromca Saichoro, ten, od którego wszystko zależało.

- Jesteś pewien, że to najlepsze wyjście? – dopytywał Dende, który nie był pewien słuszności żadnego z rozwiązań. Cieszył się, że to nie na jego barkach spoczywa odpowiedzialność, a jednocześnie wstydził przed sobą. Jako Wszechmogący Ziemi tak naprawdę nie miał zbyt wiele roboty, wszystko zawsze załatwiali Goku i reszta. On doglądał ludzkości w codziennych sprawach, miał czas na rozmyślanie... przez to wszystko stał się chyba nazbyt emocjonalny, niepewny, niezdolny do podejmowania trudnych decyzji z obawy przed popełnieniem błędu. A decyzja, którą miał podjąć Piccolo była jedną z najtrudniejszych.

- To jedyne wyjście, Dende. – odpowiedział tamten z jakąś dziwną powagą i dostojeństwem, które nabył w ostatnich dniach. Trzeba przyznać, że szybko wczuł się w rolę. – Już nie da się cofnąć tego, co zaszło.

W kilka chwil pokonali dystans między Domem Najstarszego, a miejscem wiecu, płaskowyżem, gdzie zebrali się wszyscy – zwycięzcy i pokonani – by dowiedzieć się, jakie będą dalsze losy ich ras.

Zatoczyli koło w powietrzu i wylądowali na wcześniej przygotowanym podwyższeniu. Piccolo wystąpił naprzód.

Nie czuł się dobrym mówcą, ale przygotował sobie całe wystąpienie słowo po słowie.

- Nameczanie! – zawołał, by zwrócić uwagę wszystkich, którzy i tak od początku wpatrywali się w niego. – Saichoro nie żyje. Odszedł do przeszłości. Wraz ze śmiercią Najstarszego – nie potrafił wobec siebie używać tego tytułu, choć (przynajmniej jego część) istotnie była starsza niż wszyscy tutaj – do przeszłości odeszły także smocze kule. Ale to nie wszystko. Nowa Namek także odchodzi do przeszłości.

Choć wszyscy widzieli, co dzieje się z planetą, na twarzach zebranych dały wyraz zaskoczenie i trwoga. Jednym planeta służyła jako nowy dom, drudzy nie znali żadnego innego. Zaczęli szemrać między sobą...

- Nowa Namek została zniszczona w trakcie walki. – kontynuował. – Choć teraz wydaje się, że klimat znów się uspokaja, zima potrwa dziesięciolecie. Wybuchy wulkanów będą się powtarzać i w końcu całe niebo przykryją czarne chmury izolując życie tutaj od słońca. Wszystko umrze. – kilku osobników zaczęło płakać. Więcej po stronie nowego pokolenia.

- My... Ja jestem za to współodpowiedzialny. Moglibyśmy użyć ziemskich smoczycich kul i odnaleźć dla was nową planetę do zamieszkania... – zauważył promyk nadziei na wielu twarzach, które pamiętały ich pobyt na Ziemi - ...ale to by była kolejna ucieczka. – rozwiął ich marzenia. – Nameczanie muszą przestać uciekać! Przed wszechświatem, przed zmianą, przed sobą samym!

- Mówi jak Saichoro... – podniosły się szepty ze strony Nowych Nameczan.

- Tak. – przyznał Piccolo. – Choć próbował doprowadzić do tego niewłaściwymi środkami, miał wiele racji. Czas, by Nameczanie dokonali zmian i stawili czoła problemom.

- Czyli co mamy robić? – zapytał ktoś zniecierpliwiony ze strony starego pokolenia.

- Możecie skorzystać z fabryk rogatych demonów i przygotować statki, by udać się na inną planetę. Możecie każdy udać się w innym kierunku, albo żyć tu razem. Możecie żyć od siebie jak najdalej. Możecie próbować przeżyć tutaj, na tej przeklętej ziemi, czy też pod nią...

- Co to znaczy? – dopytywali się przedstawiciele obydwu stron. – Co z Nowymi Nameczanami? Co z nami?

Piccolo, który tracił już cierpliwość, postanowił mówić wprost.

- Nowi Nameczanie są wolni. – za równo stare jak i nowe pokolenie było w kompletnym szoku.

–Starzy Nameczanie także są wolni. Zróbcie to, co zechcecie. To nie jest już mój problem.

Czas wziąć życie we własne ręce.

Po raz pierwszy od początków swojej historii Nameczanie otrzymali prawdziwie wolną wolę.

Później, kiedy przybysze z Ziemi już odeszli, pospiesznie, gonieni przez widma swoich niedokończonych spraw, pozostawiwszy Nameczan samym sobie, każdy z mieszkańców zniszczonego świata musiał podjąć własną decyzję.

Zdecydowana większość Nowych Nameczan zdecydowała się pozostać na zniszczonej, skazanej na dziesięciolecia zimna planecie, która była ich ojczyzną i jedynym znanym domem.

Ledwie kilku starców, którzy bardziej należeli już do krainy zmarłych niż żywych, zdecydowało się wraz z nimi pozostać – trwały w nich ideały pokoleń poprzednich Najstarszych, które nakazywały im służyć młodym.

Pozostali z młodego pokolenia, ceniący zew przygody nad swoją więzi przynależności, opuścili Nową Namek w niewielkich kosmicznych fregatach zbudowanych na wzór technologii rogatych demonów, szukać swojego miejsca we wszechświecie.

Starzy Nameczanie rozdzielili się na dwie druki, jedną stanowczo liczniejszą, która korzystając z projektów Bulmy skonstruowała statek godny można kolonizacyjnego i polecili w kierunku najbliższej konstelacji, gdzie oczekiwali, że mogą znaleźć zdatny do życia glob.

Drugi statek był ustnym konglomeratem – przedstawiciele obydwu obozów, przekonani o możliwości wspólnego współżycia, wyruszyli w dal na własnym okręcie, W poszukiwaniu własnej utopii.

Wszyscy nieśli ze sobą wspomnienie niedawnych wydarzeń.

Zakończyła się era Namek, która przez pokolenia wspominają będzie niczym utracony raj i święta ziemia. Zaczęła się epoka gwiazdnych tułaczy.

Vegeta, odkąd wrócił, zachowywał się dziwnie nawet jak na niego.

Znikał na całe dnie i bynajmniej nie w podziemnym kompleksie treningowym, gdzie zwykł przebywać. Odlatywał daleko poza granice miasta, poza horyzont, w kierunku dzikich i niezamieszkanых gór. Pan Briefs zastanawiał się, czego tam szuka, ale nie zadawał pytań – i tak nie otrzymałby odpowiedzi.

Pewnego dnia Vegeta wrócił w środku nocy, wpadł przez okno sypialni państwa Briefsów, cały poobijany, jak po wielkiej batalii.

Za nim do środka wpadł zaraz Gohan, obydwaj zupełnie nie zważając na śpiące małżeństwo.

Za nim z kolei niemal wszyscy przebywający obecnie na Ziemi członkowie Drużyny Z, jak Briefs zwykł ich nazywać.

- Musimy go zamknąć na jakiś czas. – powiedział tylko młody naukowiec do zbudzonego ze snu wynalazcy.

Briefs tylko kiwnął głową, zaspany, jeszcze po części w świecie snu, zapalił papierosa... po czym wzdrygnął się, zaskoczony, aż wypuścił go z ust.

- Zamknąć?! – wykrzyknął. – Niby gdzie? Dopiero co odbudowaliśmy...

- Spokojnie. Wystarczy, że prześpi tę noc gdzieś, gdzie na pewno nie dotrą do niego promienie księżyca. – próbował wyjaśnić sprawę Gohan.

- Żeby znów się nie zmienił w Oozaru. – dodał Krilan, a gdy ojciec Bulmy to usłyszał, aż pobałdł.

- O...Oozaru? – spojrzał na Vegetę jeszcze raz i przypomniał sobie o tym, jak zadziałało na niego życzenie. Zaczął domyślać się, do czego doszło. – Nie obcięliście mu ogona?!

- Żeby to było takie proste... – burknął Yamcha.

- Hooooouuuuh, co tu się dzieje – ziewnęła i podniosła się z pieleszy pani Briefs. Nadal miała zamknięte oczy, choć w jej przypadku zupełnie to nie oznaczało, że jest jeszcze we śnie.

Mogła równie dobrze być już w pełni przytomna. Albo wcale nie spać.

Pan Briefs sięgnął po szlafrok i zarzucił to niedbale na siebie. Spojrzał z wahaniem na swojego zięcia, który nie wyglądał na nieprzytomnego, raczej na zanurzonego w głębokim i nieprzyjemnym śnie.

- Weźcie to i chodźmy. – zdecydował. – Opowiecie mi wszystko po drodze.

Okazało się, że dziwne zachowanie Vegety od jego powrotu miało swoje uzasadnienie – wpływ ziemskiego księżyca. Apogeum przypadło na pełnię tej nocy. Briefs uznawał słuszność tej teorii – to była pierwsza pełnia, jaką Vegeta zobaczył na Ziemi, kiedy posiadał ogon. Czas, który minął od spełnienia życzenia do podróży w kosmos praktycznie przesiedział pod ziemią, trenując. Później zniknął i wrócił dziwnie odmieniony...

Wiedzieli, że Goku i Gohan podczas swoich transformacji w Oozaru nie posiadali kontroli nad tą przemianą – może wynikało to z jakiś właściwości ziemskiego satelity? Jeden i drugi nie posiadali już ogona, więc nie było sposobu by to sprawdzić (i lepiej niech tak zostanie, dodawał w duchu Briefs). Vegeta był teraz jedynym i ostatnim saianinem, który posiadał ogon, o ile w odmętach galaktyki nie skrywał się jakiś zaginiony kuzyn...

Szczęśliwie, w miejscu, gdzie księcia saian przyzwał dziki zew nie było ludzi – przemienił się pośród gór i dzikich lasów, nadal niezamieszkałych i niezbadanych. Wszyscy wojownicy to wyczuli, nawet w trakcie snu, tak mocno potrafiła zamanifestować swoją obecność rozjuszona ki saiyanskiej małpiej bestii.

- Na szczęście byłem blisko. – opowiadał Gohan. – Gdyby Vegeta walczył w tej formie pewnie byłoby trudniej, ale on nie miał zupełnie kontroli. Zachowywał się jak zwierzę. Udało się nam go zmęczyć.

- Nadal uważam, że lepiej, jakbyście odcięli mu... – wynalazca sięgnął ku ogonowi Vegety, ale Yamcha go powstrzymał.

- Nie próbuj – wyszeptał, jakby obawiał się, że saianin się zbudzi – chyba, że chcesz budować dom od nowa.

Gdy uścisk na przegubie zelżał, Briefs cofnął rękę i już więcej nic nie mówił.

Pokonali krety korytarz niecodziennej rezydencji Broefsow, stanowiącej połączenie kompleksów sypialniano-wypoczynkowych z pomieszczeniami technicznymi, laboratoriami i składowiskiem najróżniejszych elektronicznych sprzętów.

- Teraz pracujemy nad możliwością miniaturyzacji organizmów żywych. – przerwał w końcu krepującą ciszę Briefs. – Udaje nam się z roślinami, jednak zwierzęta to bardziej skomplikowana sprawa. Na razie nie myślimy o miniaturyzowaniu ludzi, ale kto wie... Jak do tej pory nastawiliśmy się na projekt marketingowy o nazwie roboczej „Kieszonkowe Potwory”, może przynieść nam spore zyski. Pewnie słyszeliście o takiej grze... – zdał sobie sprawę, że nikt go nie słucha. C18 i Krilan cicho rozmawiali ze sobą, Yamcha przysypiał idąc, Tien rozglądał się po otoczeniu, a Gohan wydawał się zatopiony w myślach.

Milcząc, weszli do windy. Pan Briefs wybrał numer piętra, potem wpisał specjalny kod i użył magnetycznego klucza. Widać Capsule Corp. dbało o dyskrecję.

W windzie postanowił jeszcze raz przerwać ciszę.

- Jak tam mała Pan? – zagadnął Gohana. – Widziałem turniej w telewizji. No, no...

- Z Pan jest lepiej niż myślałem. – wyznał. – Chyba jeszcze nie do końca zrozumiała, jaką rolę na sobie wzięła, ale dziennikarze nie męczą jej zbyt. Po paru wywiadach doszło do nich, że kilkulatka nie jest najlepszym materiałem na reportaż. Zresztą Satan ma wszystkich w kieszeni. – dokończył.

- Coś cię trapi? – dopytywał Briefs. Zawsze potrafił wyczuć, kiedy ktoś coś ukrywa. Może wydawał się tylko naiwnym ekscentrycznym dziadkiem, ale bez spostrzegawczości nie zaszedłby daleko. Jego wynalazki zrewolucjonizowały wszystkie gałęzie techniki, na zawsze zmieniając świat, który jeszcze kilka pokoleń wstecz tkwił w epoce koni i włóczy.

W tym momencie interfejs windy oznajmił, że dotarli na miejsce. Drzwi otworzyły się z wolna, ukazując krótki korytarz, a dalej kolejne drzwi.

- Już jesteśmy. – udało się uniknąć odpowiedzi młodemu naukowcu.

Podeszli do następnych drzwi, Briefs znów wprowadził kod, użył klucza i przed nimi otworzyła się sferyczna przestrzeń, pełna (obecnie zdezaktywowanych) robotów bojowych. Po środku znajdowało się wielkie łóżko z mnóstwem przysposobienia do niego aparatury różnej maści.

- Vegeta nigdy tu nie ćwiczył. – wyznał wynalazca. – Te ściany byłyby na to zbyt słabe. Ale przeprowadzałem tu badania nad... eee... – Briefs nigdy nie był wytrawnym kłamcą - mózgiem

w czasie snu. Teraz, jak widzicie, pokój robi za składzik, ale łóżko powinno się nadać. Nigdzie nie będzie mu się spało lepiej.

Ciało Vegety spoczęło na miękkich, dopasowujących się do ułożenia leżącego podwyżkach, których dotyk przyjemnie koł zmęczone mięśnie i nadwyrężone stawy. Gdy tylko się ułożył w stałej pozycji, z sufitu nadpłynęła szklana bańka, która okryła łóżko, a działająca niezależnie od reszty sprzętu (ten pozostawał uśpiony) aparatura atmosferyczna zaczęła swoją pracę optymalizując skład powietrza, ciśnienie, A nawet jego ruch tak, by śpiącemu było jak najbardziej komfortowo.

Rzeczywiście, trudno było sobie wyobrazić lepsze miejsce do snu, niż to.

Jednak Vegeta nie spał dobrze.

Choć jego ciało znajdowało się w podziemiach rezydencji Briefsów, gdzie pan domu właśnie żegnał nieoczekiwanych gości, pozostawiony z wypływającymi z wrodzonej ciekawości pytaniami - takimi jak „Co Gohan robił w kompletnej dziczy w środku nocy, że tak szybko znalazł się na miejscu przemiany Vegety?” – i strzępami odpowiedzi, to duch księcia saian zawędrował zupełnie gdzie indziej i bynajmniej nie odpoczywał.

Pędził poprzez gęsty las wysokich drzew. Ogromnych, majestatycznych, niepodobnych do jakiegokolwiek drzewa rosnącego na Ziemi, przewyższających ja swoim rozmiarem. Chwytał grube gałęzie mocarnymi dłońmi, zwinnymi stopami obejmował pnie, uczepiał się koron silnym ogonem.

Był małpą.

Był Oozaru.

Ogromną bestią pośród równie ogromnego lasu.

Przemierzał swoje terytorium, siejąc postrach wśród innych zwierząt. Był królem. I tylko wielki, zajmujący ćwierć nieba księżyc patrzył na niego z góry.

Wtedy nadciągnął deszcz.

Był inny niż wszystkie do tej pory, bo z nieba nie spadały krople wody, a całe gwiazdy. Ulewa ognistych języków zniszczyła wielkie lasy. Zniszczyła też księżyc, a zamiast niego nocne niebo pokrył świetlisty pył. Zwierzyna uciekła i pochowała się pod ziemią, a Oozaru dopadł głód.

Król nie miał co jeść.

Mijało wiele dni i wiele nocy, a Oozaru kurczył się i zmieniał, ciągle głodny, ciągle bez zwierzyny, mną którą mógłby polować. W końcu synowie i córki jego ofiar stały się myśliwymi, przed którymi się ukrywał.

Urosły nowe lasy. Jego dłonie znów chwytały gałęzie, stopy odbijały się od konarów, a ogon uczepiał koron – ale to nie były wielkie drzewa, a zaledwie krzaki w porównaniu do swych przodków. Król przestał być Oozaru, sam stał się karłem. Łysą małpą, której tylko ogon przypominał o tym, kim była wcześniej. W końcu przestał wchodzić na drzewa, zamiast tego

chował się w jaskiniach. Krzesał ogień i tworzył broń z kamienia, a ogon służył jedynie jako przepaska.

Król przestał być królem.

Pewnej nocy, gdy spojrzął w niebo, na niebie pojawił się nowy księżyc, a niebiańskiego pyłu było jakby mniej.

Krew zawrzała w jego żyłach i przypomniał sobie, kim kiedyś był. Wspomnienie dawnej chwały pozwoliło mu stać się cieniem, odbiciem przeszłości... Noc minęła.

Później kolejna. I następna. I kolejne tysiąc, milion, dziesiątki milionów nocy – a za każdym razem, kiedy przychodziła pełnia, łysa małpa przypominała sobie, jak to być królem.

Potem znów nadszedł deszcz gwiazd i zniszczył ziemię i księżyc, a łysa małpa znów była tylko małpą.

W końcu inni tacy jak on, saianie, zbudowali domy z kamienia i cegły, wzniesli pałace, ujarzmili dzikie zwierzęta i nauczyli się korzystać z dobrodziejstw ziemi... wszystko zostało zniszczone, gdy gwiazdy spadły kolejny raz.

Cywilizacje rodziły się ubierały, prowadzone kaprysami kosmicznego kalendarza, niczym jeden i niekończący się kołowrót wcieleń – póki nie zdarzył się cud.

W górach, gdzie nigdy nie opadała mgła, gdzie chronione pośród szczytów tkwiły jak wspomnienia z innego świata ostatnie z wielkich drzew, pewna łysa małpa... pewien saianin, odkrył tajemnicę swojej dwojakiej natury i stał się pierwszym małpim królem.

Gdy przekazał swój dar kolejnym, byli niczym bogowie pośród świata. Ich cywilizacja wzbiła się ponad inne, czy to dzięki szczęściu, czy zrządzeniu losu, zdołała poczynić pierwszy krok ku gwiazdom.

...a później nadeszło zniszczenie.

Załączek cywilizacji jednak pozostał, tak jak legendy ze złotych czasów –raz pchnięci w stronę kosmosu, nie było już zdani na kaprysy wszechświata.

Lecz przyszedł czas apokalipsy.

Rój meteorów, wyjątkowo wielki, taki, który sprowadził na nienazwany saiański dom totalne zniszczenie, tak że nic, co potrzebowało wody, ciepła i powietrza nie mogło tam przetrwać.

Saianie opuścili swoją ojczyznę, zabierając ze sobą swoje historie niczym legendy rozpuszczane w czasie tułaczki, a cała planeta, gdzie szwendały się tylko duchy zmarłych wielkich małp, została opuszczona.

Aż po eonach, jakie minęły od tego czasu, pojedynczy statek wylądował na jej powierzchni, a z środka wyszedł on, Saiyanin, ostatnia ogoniasta łysa skarłata małpa, gnana opowieściami z legend i bajek dzieciństwa, wizjami ze snów, gdy prócz ogona odzyskała coś, co jej lud zgubił od dawna – przywiedziona tam wspomnieniem bijącym z każdej komórki.

Wspomnieniem o potędze.

Odleciał, kierując się już nie w stronę gór, a do domu, odetchnął z ulgą. Całe szczęście Briefs nie drażył, czemu Gohan był akurat na miejscu, ale w końcu czemu miałby? Na pewno nawet

nie podejrzewał, co tam może być ukryte.

Gdy Przestudiował wnikliwie całość zwoju, prócz wprowadzających go w obrzydzenie fragmentów dotyczących eksperymentów i wojen, dokonał pewnych odkryć. Z opisów miejsc, nazw, które zachowały się w pewnym stopniu do dnia dzisiejszego, podanych lokacji mógł wywnioskować w sporym przybliżeniu gdzie znajdowało się miejsce, w którym skrywa przechowywał swoje zapiski. Mogła tam być prawdziwa biblioteka starożytnych tekstów! Gohan nie wiedział w zasadzie czemu poświęca temu zagadnieniu czas, ale postanowił znaleźć to miejsce. Był już blisko, znalazł fragmenty ruin w gąszczu dżungli... ale zrządzenie losu sprawiło, że Vegeta mu przeszkodził.

Teraz, kiedy do wschodu słońca została ledwie godzina, nie miał już czasu wracać tam i dalej prowadzić swoje badania. W domu czekała na niego Videl. Musiał też w końcu wrócić do pracy, urlop dobiegł końca...

Ostrożnie, pewien, że nikt nie patrzy, zniżył lot i przez otwarte duże okno dostał się do sypialni ich wspólnego mieszkania w centrum Satan City, na czwartym piętrze średniej klasy apartamentowca. Gohan i Videl nie żyli w przepychu, jednak niewielu by było w ogóle stać na zakup mieszkania w takiej lokalizacji. Mogli powiedzieć, że się im powodzi, w dużej mierze dzięki Satanowi, który podarował im to lokum w prezencie.

Gdy tylko znalazł się wewnątrz, od razu poczuł, że coś jest nie tak.

Ciemność w pokoju była jakaś obca. Vidal zawsze zostawiała choćby lampkę, zawsze wołała spać przy świetle. Teraz wszystkie były wygaszone. W całym domu, z tego co sobie przypominał – kiedy leciał w tym kierunku żadne z okien nie było rozświetlone. Jakby dom był pusty. Ich łóżko było w nieładzie, jak gdyby ktoś dopiero wstał, ale Vidal tam nie było.

- Kochanie? – zawołał cicho, żeby nie zbudzić przypadkiem Pan.

Cisza.

Wyszedł dyskretnie do dużego salonu, również zajętego przez ciemność, choć wpadające światło księżyca tworzyło błękitną i zimną poświatę.

Zganiwszy się za zmęczenie, sięgnął po najoczywistsze z rozwiązań. Wsłuchał się w ki na zewnątrz i... nie było ich w mieszkaniu! Nie wyczuwał ani Pan, ani Vidal! Spanikowany przebiegł jak burza po całym domu, wywracając meble. Nigdzie nie znalazł ich ciał, co było dla niego pociechą.

Vidal nigdy nie zwykła tak znikać bez uprzedzenia, tym bardziej na noc, ale musiał myśleć racjonalnie. Żaden rabuś nie zdołałby skrzywdzić Vidal, tym bardziej Pan. Drzwi zresztą były nienaruszone, zamek zaryglowany od środka. Musiały gdzieś wylecieć.

Spojrzał na zegarek.

Dochodziła czwarta, za chwilę zacznie robić się jasno.

Chwycił za słuchawkę telefonu i wybrał numer do rezydencji Satana.

Telefon odebrał zaspany kamerdyner.

- Dzień dobry, tu Gohan. Czy Vidal i Pan są u dziadka?

- Niestety nie, proszę pana. – odpowiedział ziewając między słowami. – Czy mogę pomóc w czymś jeszcze? – zapytał, ale po drugiej stronie odezwał się już sygnał wolnej linii. Gohan odłożył telefon.

Po czym stuknął się dłonią w czoło.

- Co za głupek. – skarcił się. Pora i zmęczenie zdecydowanie mu nie służyły.

Chwycił słuchawkę jeszcze raz i wybrał numer Videl.

Odczekał chwilę, a potem dosłyszał stłumiony dźwięk dzwonka dochodzący z sypialni. Telefon pewnie leżał pod poduszką, tam, gdzie zawsze, kiedy jego żona spała.

Teraz jednak jej nie było.

Zniknęła razem z ich córką nie wiadomo gdzie, a Gohana zaczęło męczyć irracjonalne przekonanie, że ich zaginięcie ma jakiś związek ze sprawą, na której trop nasunęła go Baba Gula.

Prawdziwy najsilniejszy wojownik na Ziemi (nie licząc jego mistrza) był przerażony niczym małe dziecko, za bardzo nawet, by czuć gniew.

Wielkie wrota do pałacu Baby Guli niemalże wypadły z potężnych zawiasów, kiedy w nie zapukał. Wszystkie jej sługi, oraz wojownicy przebywający tam w charakterze ochroniarzy pochowali się po kątach, albo uciekli niepostrzeżenie, część już kiedy tylko wyczuła ogromną ki zbliżającą się do nich. Gohan doskonale umiał ją ukrywać, teraz mu jednak na tym nie zależało. Chciał, by Gula miała świadomość, że nadchodzi. Taka manifestacja mocy była odczuwalna mimowolnie, nikt nie musiał jej wyszukiwać ani się na tym skupiać.

- Chwileczkę! – usłyszał chrypliwy głos wiedźmy, kiedy już miał zamiar wysadzić drzwi w powietrze. Był zmęczony i zdesperowany, cierpliwość nie była w tym stanie jego najmocniejszą stroną. Wrota zaskrzypiały i rozwarły się, a między nimi stała Baba Gula.

–Gohan... -wyrzęziła.

Wpadł od razu do środka, niemal ją potracając.

- Nie ma ich! –wykrzyknął. – Zaginęły! Nie było ich u Satana, ani u mamy.Zresztą nie wyszłyby tak w środku nocy!

- Spokojnie... Kto zniknął? Co się stało? –dopytywała czarownica, obawiając się już możliwej odpowiedzi. Zamknęła wrota, uniemożliwiając dopływ promieni wychodzącego słońca do wnętrza pałacu. Oświeślały je tylko słabe elektryczne świeczniki.

- Pan i Videl! Zniknęły w nocy... Musisz wywróżyć, gdzie się znajdują!

Gula przestraszyła się, ale nie dała tego po sobie poznać. Jej sytuacja mogła być tragiczna...

- To kosztuje dziesięć milionów żeni – rzekła beznamietnie, grając na czas.

- Chcę turnieju! Dawaj swoich zawodników, była szybko! - ponaglał ją, zmęczony i doprowadzony do ostateczności.

- Tak się składa, że wszyscy pouciekali jak tylko przybyłeś, a skoro ich nie ma... – rozwodziła się wiedźma, próbując obmyślić jakiś plan. Nie wiedziała jak wiele może mu powiedzieć i jak dalece się posunąć.

Nie wiedziała, czy nie jest obserwowana.

Salę pałacową zalało ostre, sztuczne światło, a potem część sufitu wraz z górnymi komnatami eksplodowała. To Gohan wystrzelił falę energii.

- Ja nie żartuję. – spojrzał na nią tak, jak nigdy wolałaby go nie widzieć.

Doskonale wiedziała, że byłby w stanie zniszczyć ją jednym skinieniem dłoni. Potęga, czysto fizyczna siła, kwintesencja destrukcyjnej strony wszechświata - ki upakowana gęsto w ciała broniących Ziemi wojowników, była poza jej zasięgiem. To jej brat był osiłkiem.

Ona zawsze była mózgowcem.

A teraz znajdowali się w jej domu. Na jej terenie.

- Nie zapominaj chłopcze – Krzyknęła, wymachując rękoma w powietrzu, poruszając się kierowana jakąś dającą się przewidzieć logiką. Kula pod nią rozbłysła fioletowym światłem - ...że jesteś w pałacu wiédźmy! –kamienie scalały się atom po atomie, wskakiwały na swoje miejsce, sufit się odtwarzał kawałek po kawałku. – Trochę pokory względem gospodyni! Gula jakby przez chwilę urosła, głos jakby zwielokrotnił się, tworząc przeraźliwą głębię dźwięku.

Gohan nie należał jednak do strachliwych... mimo wszystko występ wiédźmy ostudził jego zapal.

- Zrozum, musisz mi pomóc, tylko ty możesz to zrobić. –obdarzył ją pełnym cierpienia spojrzeniem. – Chcesz, zdobędę te pieniądze... Ale sprawdź, gdzie oni są.

Czarownica zapatrzyła się, po części na niego, po części gdzieś wewnątrz swojej głowy i milczała tak przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co począć w tej sytuacji.

W końcu westchnęła ciężko.

Ta bitwa była dla niej przegrana.

- Słuchaj chłopcze – odezwała się i westchnęła – to nie tak, że nie chcę ci pomóc. Obawiam się, że nie będę w stanie.

W jednej chwili zaczęła wyglądać na bardziej zmęczoną od Gohana, jakby opadła maska, którą nosiła od początku. Musiała wyznać mu prawdę... przynajmniej w jakimś stopniu.

Obcy opuścili Nową Namek. Wszyscy przybysze z gwiazd wrócili do swojej ojczyzny.Wszyscy podążyli tam, skąd przyszli... prawie wszyscy.

Pozostał tylko Dande.

Mimo wielu lat spędzonych na Ziemi, które uważał za piękny i wartościowy czas, gdzie poznał wielu przyjaciół, nie tam był jego dom. Tam był obcy.

Tutaj, pośród zgliszczy i ruin, na umierającej planecie, która przecież nie była prawdziwą Namek, którą znał z dzieciństwa, był u siebie. Był razem ze swoimi krewniakami, tymi, których znał już od wyklucia.

Ostatnio na Ziemi, a potem w drodze tutaj i nawet później, nim sprawa Saichoro nie została zamknięta, jego umysł krępowwała nostalgia i niemoc. Nie znał jej źródła, choć domyślał się wielu powodów.

Teraz jednak, kiedy znalazł się między swoimi w katakumbach przywodzącej na myśl kata ich rasy galaktycznego tyrana, w podziemiach planety zamieniającej się w cmentarz, kiedy wszyscy wokół trwali w beznadziei, to uczucie, klatka zarzucono na jego myśli i czyny, zniknęła.

Jasno i wyraźnie widział cel i sens swojego dalszego życia, krok po kroku planował zadania, które musiał rozwiązać i wykonać.

- Szklarnia już gotowa! – rozmyślania, jak na niego całkiem radosne i optymistyczne, przerwał mu Pripo. On jako jeden z nielicznych Nowych Nameczan chciał żyć razem ze starszymi. Po stronie starego pokolenia było równie niewielu skłonnych do koegzystencji, więc grupa Dende (nie był w niej żadnym przywódcą) była dość nieliczna.

Mieszkali na skraju ruin, na innym kontynencie niż miejsce niedawnej walki, w systemie grot z których niektóre znajdowały się na tyle blisko powierzchni, by przez szczeliny spadało nikiłe światło zewnętrznego świata. Niebawem ono zniknie i tylko zimno będzie przebiegać przez te otwory, jednak lepsze miejsca były już zajęte.

Po krótkiej, ale bynajmniej mnie łatwej wędrówce (musieli pokonywać skalne rozpadliny i przewężenia, albo uważać na starożytny złom) dotarli na miejsce.

Nameczanska szklarnia nie przypominała tych, jakie spotyka się na Ziemi w ogródkach farmerów. Wyglądała raczej jak ogród zoo-botaniczny. Nameczanom wiele nie było potrzeba do przeżycia – trochę powietrza i światła to wszystko, co musieli mieć, choć teraz i o to było trudno. Jednak, by ten świat powrócił kiedyś do życia musieli zachować w jakiś sposób jego biosferę, a Nameczanie, w przeciwieństwie do ludzi, instynktownie dążyli do tego by pomagać ekosystemowi w działaniu. Szklarnia służyła temu celowi – była schronieniem dla tutejszych roślin i zwierząt, przy okazji stając się jedynym miejscem w ponurym podziemnym świecie, w którym można było odetchnąć. Światła dostarczały wynalazki rogowatych demonów – skąd pozyskiwały energię nadal było tajemnicą.

Szklarnia, poza walorami estetycznymi, spełniała inną ważną rolę. Była magazynem genki. Nameczanie potrafili ją wykorzystać jako rezerwuuar energii, gdyby naświetlanie starożytną technologią zawiodło. Potrafili się też nią pożywić, jeśli powietrze i sztuczne światło byłoby dla nich niewystarczające.

- Wygląda wspaniale. – przyznał Dende.

Szklarnia to był jego pomysł.

- Myślisz, że kiedy inni się dowiedzą...

- Będą chcieli ją nam odebrać? – dokończył, wstrząśnięty tym jak blisko myśleniu Nowych Nameczan do ludzi. – Dlatego powinniśmy pomóc zbudować je pozostałym. Jak najwięcej, póki jest co ratować.

- Odlecieli tak szybko. Tuż przede ukończeniem...ale... w razie problemów... Trunks i Gohan nam pomogą? –dopytywał się zaniepokojony Pripo. – W końcu jesteś ich przyjacielem...

Dende spojrzał na niego smutnym wzrokiem. Przypomniawszy sobie pośpieszne odejście swoich niedysiejszych towarzyszy, kiedy musieli uciekać.

Mieli szczęście, że w chwili gdy przybyli tu wędrowcy z innego wszechświata, wszyscy znajdowali się w jednym miejscu i Uub mógł ich transmitować, nim doszło do konfrontacji. W końcu jednak będą musieli się z nimi zmierzyć.

Dziękował w duchu losowi, że przynajmniej daleko stąd. Był Wszechmogącym i nadal Ziemia zajmowała miejsce w jego sercu, ale tam mieli smocze kule i zawsze mogli wszystko naprawić.

Tylko mogli je odnaleźć dopiero za kilka miesięcy...

- Sądzę Pripo – odpowiedział – że mają teraz własne sprawy na głowie.

Pierwszym miejscem, w jakie przeniósł się Uub, była planeta Tsufuli. Z tak wielkiej odległości nawet nie wyczuwał ich ki, miejsce nie leżało też w zasięgu jego wzroku, mógł więc liczyć tylko na swoją pamięć. Jak wyglądał tamten świat, gdzie się znajdował, jak daleko stąd... nie miał wiele czasu, by przywołać w pamięci te wszystkie szczegóły, kiedy Nameczanie donieśli im, o pojawieniu się nowych obcych, zmierzających w ich kierunku.

Decyzję musieli podjąć szybko.

Nie mogli ryzykować dalszej walki na Nowej Namek. Poza tym nie liczyli na to, że będzie to łatwe starcie. Nie znali dobrze możliwości tej dwójki (o ile zamaskowani byli tymi samymi, którzy wcześniej odwiedzili Ziemię), jednak Vegeta i Gohan mieli z nimi nie lada problemy. Postanowili zmienić miejsce.

Uciekać.

Miał śmiały plan. Podczas swojej podróży z Goku, odwiedzili kilka światów, niezamieszkanymi lub dzikimi planetami. Chciał przeskoczyć przez nie jak najszybciej, by zdezorientować tropicieli, którzy na pewno od razu teleportują się na Ziemię. Nie martwił się, że ją zniszczą – im chodziło o nich. Ściślej: o niego samego, tak podejrzewał, ponieważ pokazał swoją transformację.

Gdy udało im się dotrzeć do świata Tsufuli, natychmiast przeniósł ich dalej. Walki tutaj także nie chciał ryzykować, więc nie zdążyli nacieszyć się krajobrazem malowniczych wybrzeży, plaż usypanych z jodełowego piasku, ani strzelających w niebo wież miast tego pięknego świata.

Kolejnym wyborem była porośnięta dżungla, dzika planeta, na której żyły wielkie jaszczury przypominające dinozaury.

Już chciał wykonać skok dalej, kiedy Piccolo go powstrzymał.

- Zaczekaj! – nakazał i oderwał swoją dłoń. – Ukryjcie ki.

Wszyscy (poza Bulmą, którą nie posiadała kontroli nad ki, ale na szczęście była zupełnie słaba) wyruszyli swoją mocą jak tylko mogli.

- Chcesz, żeby nas zgubili, tak? – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Więc zostanemy tu chwilę. Muszą mieć czas by rozpoznać się, że nie ma nas na Ziemi, a potem zaczną nas szukać. Lepiej poczekać tu, niż skakać po planetach.

Piccolo miał rację. Uub nigdy by na to nie wpadł – mimo wszystko był nadal dzieckiem, nawet jeżeli był sprytny, a Najstarszy pozwolił mu doznać ułamka nameczanskiego oświecenia. Nikt nie protestował – poza Bulma, którą chciała natychmiast wracać, ale narzekała bez przekonania, bardziej dla zasady – więc zostali na miejscu.

Będą musieli przenieść się na Ziemię, jednak na razie grali na czas.

- Też sądzicie, że przylecieli po mnie? – zapytał ich, gdy przycupnęli w naprędce skróconym obozowisku.

- Wszyscy będziemy walczyć. – zapewnił go Goten. – Może nawet lepiej na tej planecie, niż gdzieś na Ziemi. Musimy tylko pogadać z Gohanem i Vegetą...

- Teraz mamy chwilę i możemy przygotować się do walki. – dodał Trunks. – Gdy tylko wrócimy na Ziemię, na pewno nas wyczują. Poza tym chyba nie zostawimy Gohanowi całej zabawy? I mojemu ojcu, jeśli już wrócił?

- I mojemu. – wtrącił Goten. – On zawsze wie, kiedy się pojawić.

Jakieś zwierzę podeszło ryzykownie blisko nich. Przypominało przerośniętego, drapieżnego królika, a Gotenowi aż zaburczało w żołądku.

Wszyscy uświadomili sobie, że nie jedli niemalże nic od dobrych trzech dni (na NowejNamek nie myśleli o jedzeniu – ostatni czas poświęcała im pomoc w budowlaszklarni, o co poprosił ich Dende).

- Zjadłbym coś. – dodał czarnowłosy chłopak, łapiąc się w tułowi.

- Na razie odpocznij, Uub. – wtrąciła się Bulma, która odkąd została matką, stała się troskliwa dla dzieciaków, mimo, że nie zawsze to okazywała. - Błado wyglądasz. Ta technika chyba bardzo cię męczy.

Gdy kończył zdanie, głowa czarnoskórego chłopca wędrowała już ku piersi, a powieki opadły niczym przytłoczone własnym ciężarem poły kurtyny.

Uub zasnął.

Na Ziemi za to właśnie ktoś inny obudził się z przedziwnego snu.

I czekało go towarzystwo.